

Łukasz Warzecha: Dwa scenariusze

Prokurator wdał się w dywagacje o sprawach przekraczających jego kompetencje



Prokurator wdał się w dywagacje o sprawach przekraczających jego kompetencje

W „Gazecie Wyborczej” przyległy do Platformy Marek Beylin narzeka, że „część przyległych do PiS publicystów” nie dostatecznie serio przejęła się niedoszłym zamachem Brunona K. Podobne pretensje

zgłaszał wczoraj naczelny portalu poświęconego konsumpcji parówek na stacjach benzynowych. W TVN24 rzecznik ABW, a niegdyś policji, Maciej Karczyński, skarży się ze łzami w oczach, że społeczeństwo nie docenia nadludzkich wysiłków funkcjonariuszy, którzy – jak opowiadano nam na wczorajszej konferencji prasowej – dniami i nocami dokonywali stachanowskich wysiłków, aby zamachowca powstrzymać i zatrzymać.

Wszystko to bardzo mnie wzrusza i porusza, więc muszę się chyba do tych żalów odnieść.

Po pierwsze – Beylin oczywiście wie znakomicie (podobnie jak zapewne wie Machała), że po tym, jak bliska im część establishmentu odnosiła się do niebezpiecznych sytuacji, dotyczących ś.p. Lecha Kaczyńskiego (w szczególności do strzałów w pobliżu prezydenckiego konwoju podczas wizyty w Gruzji), do morderstwa Marka Rosiaka w Łodzi, a przede wszystkim do sprawy Smoleńska, obecny „rechocik” nad panem Brunonem i jego bombą z wtyczką i dziurkaczem biurowym to tylko mały odwecik. Naprawdę delikatny i niewinny. Dlatego ich pretensje są podszyte ogromną dawką hipokryzji.

Oczywiście Nie jest dobrze, jeśli sytuacja w jakimś jednak stopniu niebezpieczna i stanowiąca zapewne jakieś zagrożenie dla najważniejszych ludzi w państwie zamiast budzić ponadpartyjną troskę, staje się dla jednych przedmiotem kpin, a inni mówią o niej w tonie taki, jakby chodziło o koniec świata. Tyle że doprowadził do tego cały ciąg zdarzeń, o których ani Machała, ani Beylin nie chcą jakoś

pamiętać. Być może gdyby nie pamiętne słowa Bronisława Komorowskiego „jaka wizyta, taki zamach” i wszystko, co stało się potem, dziś reagowalibyśmy inaczej.

Po drugie – trudno nie odnieść wrażenia, że po stronie służb i prokuratury mamy do czynienia nie tyle z informacją o groźnej sytuacji, co raczej z propagandą. Te same osoby, które dziwiły się, dlaczego ABW kręciła akcję zatrzymania Blidy i oburzały się konferencją Mariusza Kamińskiego w sprawie zatrzymania Sawickiej, dziś nie dostrzegają nic niestosownego w konferencji ABW i prokuratury.

Konferencja ta byłaby zresztą może do obrony, gdyby ograniczono się na niej do poinformowania o faktach. Miała ona jednak cechy wiecu ku chwale ofiarnych funkcjonariuszy resortu bezpieczeństwa publicznego. Usłyszeliśmy o znoonej pracy oficerów ABW, którzy padali na pysk, a jednak Brunona K. nadal pilnowali. Zaś jeden z prokuratorów wielokrotnie podkreślał, jak ważne jest zachowanie uprawnień śledczych ABW. Prawdę mówiąc, za te wywody powinno go spotkać postępowanie dyscyplinarne. Zadziwiające jest, że prokurator, który ma się wypowiedzieć w jednej konkretnej kwestii, wdaje się w dywagacje o sprawach grubo przekraczających jego kompetencje i moc decyzyjną, będących domeną decyzji politycznych.

Po trzecie – sama sprawa wydaje się rozdęta. Prorządowe media szybko zaczęły trąbić o czterech tonach trotylu, którymi Brunon K. miał wysadzić w powietrze Sejm, atakując go ciężarówką, choć tych czterech ton nie miał. Nie miał nawet czterech kilo. Udostępnione filmy

pokazują wybuchy sprzed 12 lat (przez tyle czasu nikogo one nie zainteresowały?), a zdjęcia – zbiór przedmiotów, które każdy ma w domu. Może prócz starej nokia – to faktycznie unikatowy egzemplarz.

Po czwarte – i to wydaje się najbardziej wątpliwym punktem całej historii – niejasna pozostaje rola agentów ABW, zainstalowanych w otoczeniu Brunona K. W jakim stopniu jedynie kontrolowali jego działania, a w jakim sami je inspirowali? Czy pomysł zamachu wyszedł od samego Brunona K., czy może od nich, a zatrzymany jedynie go podchwycił? Nie wiemy i pewnie szybko wiedzieć nie będziemy. A to przecież zasadniczo zmieniałoby sytuację.

Po piąte wreszcie – ta sprawa ma określony polityczny kontekst. Jego elementy są następujące:

- 1) Potrzeba obrony przez Krzysztofa Bondaryka własnej pozycji.
- 2) Potrzeba obrony przez ABW swoich kompetencji.
- 3) Nieustająca wojna polityczna, w której można użyć każdej amunicji, w tym nadmuchanego niby-zamachu.

Znacznie łatwiej byłoby mi potraktować zagrożenie, jakie miał stworzyć Brunon K., jako realne, gdyby nie te wszystkie elementy. Śledczy, wypowiadający się na konferencji, oznajmili, że wykładowca kierował się w swoich działaniach motywami „nacjonalistycznymi, ksenofobicznymi, antysemickimi”. To w obecnej sytuacji bardzo

wygodne dla strony rządowej – pod domniemane motywacje Brunona K. można spróbować podpiąć każdego – od PiS, poprzez Warzechę i Rybickiego, na ONR kończąc. Podchwytuje to natychmiast Beylin, pisząc: „O podejrzanym Brunonie K. wiemy, że jest antysemitą i ksenofobem”.

Ale skąd wiemy? Nie znamy przecież zeznań Brunona K. Znamy jedynie ocenę jego motywacji, jaką przedstawili nam śledczy i nie mamy pojęcia, na jakich podstawach ją sformułowali. Ujawnione internetowe wpisy Brunona K. pokazują raczej ogólny sprzeciw wobec władzy. Podobnych można by znaleźć setki w ciągu godziny. Nic z tego nie wynika.

Może faktycznie było tak, że Brunon K. był potencjalnie groźnym zamachowcem, frustratem, osobą chorą psychicznie, którą dzielni funkcjonariusze zatrzymali w samą porę, aby nie zdarzyło się nieszczęście. Może. Nie wykluczam tego. Ale nie jestem do tej wersji jakoś szczególnie przekonany i nie uważam, abyśmy ujrzeli dotąd ostatecznie przekonujące dowody w tej sprawie. Może je jeszcze zobaczymy.

Wyobrażam sobie inny scenariusz. Oto ABW trafia na ślad niegroźnego oryginała, nie lubiącego ogólnie władzy, który swoją pasję specjalisty od materiałów wybuchowych traktuje na tyle serio, że przeprowadza nawet próbne wybuchy na odludziu. Dla służby, której szef jest w ostatnim czasie marginalizowany, a samej służbie grozi redukcja kompetencji, to świetna okazja, aby te tendencje odwrócić. Jak wiadomo, nie ma dla służb specjalnych lepszego sposobu na

przekonanie rządzących o własnej niezbędności niż stworzenie przekonująco wyglądającego zagrożenia i pokazanie, że tylko one są w stanie je zażegnać.

W otoczenie Brunona K. wprowadzeni zostają agenci ABW, którzy przez kilka miesięcy urabiają „figuranta”, aż w końcu naprowadzają go na pomysł zorganizowania „zamachu”. Potrzeba teraz tylko dowodu w postaci choćby nagranych przez agentów rozmów, w których Brunon K. będzie już traktował „zamach” jako własny pomysł. Ale to pikuś.

Informacja o sprawie trafia do najważniejszych polityków, w tym do premiera, który odczytuje natychmiast komunikat. My dajemy ci świetny piarowski chwyt – możesz odegrać spokojnego ojca narodu, kolejny raz zaapelować o złagodzenie sporów i zarazem między wierszami wskazać opozycję jako choćby mimowolnego inspiratora myśli zamachowcy. Temat natychmiast podchwycą prorządowe media i komentatorzy i wykonają za ciebie resztę roboty. W zamian trochę nam odpuścisz. Pamiętaj też, że taki Brunon K., tylko prawdziwy, nie kreowany przez nas, zawsze może się zdarzyć, a my – jeżeli nie będziemy mieć miejsca wystarczająco blisko ciebie – nie musimy do niego dotrzeć na czas.

Ten scenariusz wydaje mi się dziś równie prawdopodobny co ów pierwszy. A może nawet bardziej.

Łukasz Warzecha

Tekst ukazał się pierwotnie na blogu Autora